



Alicja Dużyk

Alister
Sztuka niekochania

CZEŚĆ II

opowiadania
psychologiczne

PIERWIASTKO

#Alister_SZtUKA_nieKOCHANIA

#cywilizacjaJedzeniaPustymbaku_Miłości

#Przychodził_popatrzećprzezOkno

#idziemykrokiemRewolwerowców

#pierwiastekDestrukcyjny_wNas

#Wdowa_zErotycznymADHD

#nieDamysię_spampersować

#niepokój_tostanNormalny

#ŚwieckaSpowiedniczka

#spotykamysięnaSeks

#CzłowiekRozanielony

#ŁabędziowaMiłość

#_aJatochujwlesie?

#przepis_naNałóg

#cienie_zTindera

#umarliTeżsięBoją

#drwinoszum

#Staroludzie

#marzekania

#trochęInna

#samodotyk

#niemiłość

#Przemroki

#Lęk_to_Lek

#Lek_to_Lęk

#choleraCoOnaRobi?

Jestem każdą opowieścią
i nie jestem żadną

Alicja Dużyk

AL*ister*

SZtUKA nieKOCHANIA

opowia**DANIA** psycho**Log****ICZNE**

CZĘŚĆ 2

***Książkę dedykuję Najbliższym
po dwóch stronach granicy Życie – Śmierć***

Dziękuję tym, którzy mi pomogli

Bywa, że bohaterowie odwołują się m.in. do tomów Vadima Zelanda
Transerfing rzeczywistości oraz *Kapłanka Tafti. Spacer w filmie*.



OSNOWA

Spis tematów, osób rozproszonych i miejsc losowych

Pierwiastko	12
Przepis na uzależnienie	
Alicja Guba, Narko, Alko, Ester, André Poznań/Niewolno/Szamotuły	
Łapacze snów	22
Narko	31
Guba	47
Ester	103
Pani Mor	118
Alko	131
Zmora mora	170
Klucze	220

Jestem dilerką opowieści.

Zaufało mi kilkudziesięciu ludzi, powierzając swoje historie. Tkam iluzje słowami, aby ukryć ich – Dawców, a prawdę zdarzeń uwypuklić.

Opowiadamy szczerze o tym, o czym wielu milczy.

Jesteśmy autentyczni jak wysokie modelki, totalnie głodne idei, a także z pustym żołądkiem. Konkretnie. Pokazujemy przestylistowane fakty, które mogą stać się wskazówką lub mapą. Podążamy za krojem koronkowych majtek, co może nieść trop kosmiczny.

Drepczemy do pracy, to znaczy przebijamy się przez spaliny i korki – a tam ściana. Wracamy do domu, otwieramy drzwi trzema kluczami, bo strach bywa powszechny, a tam – ściana. W nocy, zmęczeni czołgamy się pod prysznic. Puszczamy wodę, ale zamiast relaksu wali się beton komórkowy ze zbrojeniem.

Rzeczywistość fiknęła koziołka, zanim w wolną niedzielę poszła na karuzelę.

Nasze powiązane losy – sierot po Wieży Babel – zataczają kręgi jak pętle. Nie posiadamy nawet oryginalnych skaz. Niemniej, zawstydzeni, chowamy je głęboko, jakby były święte. A są banalne. To jest hurtowy świat. Zrobiony na odpięprz zaledwie w siedem dni. Jeśli obnażymy się, to odkryjemy, że nasz wstyd jest niczym wobec ogólnej tandety makiety. Zrozumiemy, że zarażamy się sztucznością i nieprawdą. Pochłaniamy mikrocząsteczki plastiku. Śnimy matriksowe sny.

Podświadomość bywa fakirem.

Moje imiona Alicja i Ester brzmią w różnych językach świata. Szukam Andreja, z którym nie potrafię porozumieć się w żadnym dialekcie. Wydaję się zbyt płaska i szczupła, więc mówią, że niekobieca, ale mam zbyt dużą nadwagę. Niebotyczny, rozbestwiony biust, który działa jak magnes na niedotulonych. Włosy – liany, czarne i długie, czynią ze mnie grzeszną, niepozorną blondynkę. Ruda, daj siebie – chęć. Okej, bierzcie i jedzcie z tego tekstu wszyscy.

Jestem słaba i silna równocześnie.
Piękna i zdezelowana, jakbym przeżyła wiele życ.
Wielowymiarowa i szara.
Mądra, lecz naiwna.

Bywam kapitaną czołgu, która wjeżdża na taflę zamarznętego jeziora, by ratować topiący się śnieg.

Jestem konsekwentna jak Abraham wystawiony na próbę, który przyrzekł syna swego, jedynaka swego, Izaaka, złożyć w ofierze całopalnej. Ale nie o tak absurdalną ofiarę mi chodzi. Moje dziecko, ta książka, nie ma płonąć, a pomagać.

Jestem każdą opowieścią i nie jestem żadną.



– Może to zabrzmie niesamowicie, ale czuję się, jakbym znał cię długo. Coś fajnego wyczuwam od ciebie. Dobro, wrażliwość, coś z dziecka. Czyżby niewinność?
Och, myślę. Nie ma ludzi niewinnych, wśród tych, którym udało się dorosnąć. [...]

Mówimy o traumach, abyście wiedzieli, że można własne pierwiastki zagospodarować. Trochę oswoić lub pielęgnować w klatkach, jak dzikie bestie lub róże. Jednym słowem nauczyć się ze sobą żyć albo umierać. Wydaje mi się, że nie można ich z siebie wywabić, tylko opanować. Chyba że znacie lepsze metody? Sprawdźcie. My nie milczymy o swoich.

Pierwiastko

Pierwiastko

Przepis na uzależnienie

Przespaliśmy się już pierwszej nocy, w ciemno, z tęsknoty za bliskością i akceptacją drugiego człowieka. On pił mało alkoholu, ja – łąpczywie, częste łyki. Powinno być odwrotnie. Ponoć nie ma nieatrakcyjnych kobiet, tylko wina brakuje. Powiedział, że nie wie, czy jestem ładna, czy brzydka, ale intrygująca. Zdjął ze mnie bieliznę, jak uwalnia się baleron z obciskającego sznurka. Pożerał wzrokiem, podczas gdy ja zamykałam oczy zawzięcie. Znowu inaczej. On miał ciało, które można było podziwiać. Siedziało w nim coś na kształt destii, literówka po nocy w świetle lampki. Może intuicja? Więc nie bestii, jak zacznę sądzić, a czegoś diabolicznego? Nieostrzegalnego z poziomu fizycznego, bo przysyłaniały „to” stalowe mięśnie. *Destiny* – przeznaczenie nas zetknęło. Spletliśmy się jak Eros i Tanatos, bogowie scalający pozornie przeciwstawne: miłość i śmierć. Obezwładniający mężczyzna miał ptasie oczy. Wodniste, rozcieńczone, ale władcze. Był bezpośredni i hardy. – Będziesz mi tu stroić fochy? – spytał, kiedy bałam się dać rozebrać. Och, nawet sama się nie stroję. Noszę luźne tuniki z lumpeksu.

Romans rozpoczął się w wychłodzonym: życiu, mieście, domu. Rozgrywał w bałaganie związanym z przeprowadzką. Niedawno kupiłam parter w skromnej kamienicy, powracając na ulicę Partyzancką, przy której mieszkałam w czasie studiów. Dom nie miał jeszcze ogrzewania gazowego, a współczesne kobiety nie wiedzą, jak palić w piecu. Same siebie średnio potrafią ogrzać. Budynki bez automatycznych kotłów grzewczych są trochę jak bez serca. Chłód panował na zewnątrz wokół, ale i w nas. Wtuliliśmy się w siebie już pierwszej nocy, skostniali, a lekkomyślni; jeszcze nie z fizycznego pożądania, lecz na skutek wyobrażeń. Szukaliśmy tego samego ciepła. Inaczej niż słynna Frytka, w którejś edycji *Big Brothera*. Tamta czatowała na poklask i sławę. Nas

nikt nie widział, nie słyszał. Frytki smaży się na oleju, na tłuszczu. Ten jest we mnie. Dlatego też nie mogłabym rozebrać się publicznie. Re-prezentuję odmienny kanon urody. Coś we mnie siedzi, co każe jeść. Głodny, chłonny pierwiastek, wkłada mi do ust drażetki czekoladowe. Pomyślałam, że spotkaliśmy się po to, aby sobie pomóc. Ludzie tłumaczą świat prywatnymi legendami, lubią nadawać sens zdarzeniom. My znaliśmy się tylko tydzień. Przez siedem dni stworzyliśmy naszą Ziemię przez komunikatory, telefony i niedopowiedzenia.

Ten przystojny, wysoki mężczyzna przyjechał do Poznania na pogrzeb matki. Przesłał mi wcześniej jej zdjęcia na WhatsAppie. Siwa, krępa, źle ubrana, szara pani – jak większość waszych matek po osiemdziesiątce. Nie moja, bo ta pani zmarła młodo, pozostając atrakcyjną. No i po części nie była moją matką. To znaczy dokładnie – przekazała mnie swojej doświadczonej rodzicielce. Dała na przechowanie, aż dorosnę, z przerwami na wspólne święta i wakacje. Tak to się składa, kiedy nie uda się odgryźć pępowiny i ciągnie do ołtarza alkoholika. Nieważne.

Dominujące mogą stać się inne kościelne uroczystości – związane z moim pogrzebem. Wtedy nie wiedziałam, że naiwne i niefrasobliwe decyzje tak bardzo zbliżają do śmierci. Umieramy milimetr od spełnienia, rozproszeni szczęściem. Morderca czyha w słońcu nierozpoznany. Bagatelizowałam znaki. Tropiłam destrukcje, sama stając się celem psychopaty.

Człowiek, który rozkładał szeroko ramiona, by tulić mnie w chłodnym łóżku, miał na imię, nazywał się... no, powiedzmy po prostu, Ner. Niech tak na razie zostanie. Pracował w Berlinie, sprzątał w ekskluzywnej restauracji. To było niezgorsze, bo lubił: dobre kawy, wojskowy szyk i porządek. A także smacznie zjeść. Wiadomo, kiedy Polak nienasycony, to zły. Głodny jak wilk i może pożreć. Posiłki dostawał w ramach premii. Poznał nas Facebook, zaproponował mu dodanie mnie do znajomych. Miałam sto siedemnaście zaproszeń, w tym od niego.

Napisał przy tym: *Alicja Guba, witam, przyjrzałem się Twoim wpisom. Zaintrygowałaś mnie.*

Siebie też ostatnio – odpowiedziałam spontanicznie, na luzie. Był daleko, był nieznajomym. Nie był tym człowiekiem, za którym tęskniłam. Cóż,

puszyste osoby mają mniejsze spektrum wyboru, więc lepiej nie urywać od razu dialogu.

Odzew Nera był szybki:

Witam. Rozumiem, że nie zaakceptowałaś zaproszenia. Nie chcesz? No nic, nie przeszkadzam.

Nie zauważyłam – odparłam szczerze.

Podobnie tłumaczyłam się babciom: Przepraszam, nie dostrzegłam progu i wylała się zupa. Wtedy jednak kłamałam, bo chciałam się odchudzać. Dawniej, w małych miejscowościach na krańcu cywilizacji uważano, że dzieci krępe są zdrowe. Lepiej, żeby: *Brzuch pękł, niż Boży dar się zmarnował. Zanim gruby schudnie, to chudy umrze.* Nie akceptowano diety, była fanaberią jak wegetarianizm. Kury zabijało się cyklicznie w sobotę; siekierą, z głową na pieńku, na rosół.

Teraz mówiłam do wirtualnego człowieka prawdę. Pozwalam sobie na szczerość. Opuściłam psychozę: co pomyślą o mnie inni? Oprócz tej nieco nadmuchanej strefy ochrony terytorialnej, pomiędzy mną a światem, to znaczy nadwagi, poradziłam sobie świetnie z dawną sobą. Kiedy patrzę na stare zdjęcia z podstawówki czy liceum, to widzę inną osobę. Rysy twarzy tamtej łączą ją tylko delikatnie ze mną aktualną. Z wiekiem staję się ładniejsza. Tamta przechodzi do lamusa. Jest tak nieobecna, że pomału znika.

Teraz Ty wyślij zaproszenie – zażądał Ner, anulując swoje.

Zrobiłam to. Niech ma, jeśli poczuje się lepiej. Jaki drażliwy – pomyślałam. No i tak – my, nieznajomi, zostaliśmy znajomymi. On w Berlinie i ja w Poznaniu nad ekranem. Bez kamerek internetowych, ale widział moje zdjęcia. Nie ukrywam siebie, nie retuszuję fotografii. Niektóre kadry są zresztą jak performance. Staram się ludziom coś przekazać. To takie foto-opowieści.

Serio!, zaintrygowałaś mnie. Zobacz mój profil, może też Ciebie zaciekawię, Alicja. I nie obawiaj się. Nie jestem kolejnym chłopcem, co widzi na przykład tylko Twoje... balony.

Alicja. Piękne imię... Bardzo muzyczne – pisał. – Chcę cię poznawać, zaprzyjaźnić się. Czy coś więcej się zdarzy? Wszystko zależy od nas.

Snuł plany?

Tymczasem ja bałam się momentu, kiedy naprawdę będzie dobrze,

bo po każdym śmiechu nadchodzi płacz; tę „prawdę” wtłaczano mi w domu. Zjebany skrypty rodzinny.

Pisał tak, jakby mu nie przeszkadzało, że przy innych standardach regulaminów wewnętrznych musiałabym płacić za nadbagaż na lotnisku, gdyby ludzi traktowano tam jak walizki. Stałyby dwie wagi: na przedmioty oraz kobiety i mężczyzn. Dzieci, wiadomo, są relatywnie lekkie, nawet te utuczone. Niektórzy obrotni pasażerowie nie mogliby już zakładać na siebie trzech płaszczy, swetrów czy szalików na odprawie celnej.

– O, pani musi trochę dopłacić – mówiłyby do mnie beznamiętnie stewardesy-modelki czy poważni pracownicy straży granicznej.

Tymczasem metalowe ptaki wzbijają się ponad chmury pełne tolerancji. Zarząd lotniska nie ingeruje w sprawy tak intymne, jak obciążenie foteli w klasach: ekonomicznej i biznes. Tu, na Ziemi, bywało gorzej.

– Ej, gruba! – wołały dzieci. – Idź do taty, niech cię poprawi.

W dzieciństwie byłam przerażona i zawstydzona tymi insynuacjami. Zastanawiałam się, skąd one wiedziały, te obce bachory, bo z nikim się przecież nie przyjaźniłam, że ojciec uczestniczył w akcji tworzenia mnie po pijaku. I dlatego pewnie spierdolił jak półkę i kafle w wakacyjnym domu.

Dopiero później zrozumiałam, że dzisiaj obraża się innych bardzo powierzchownie. Te dzieci z podstawówki nic nie wiedziały o moim tacie i nie chciały niczego zrozumieć. To tylko taki stary zwyczaj osądzania po pozorach. Właściwie wylewasz frustrację jak pomyje i patrzysz, kogo zmoczą do łez.

Tak, w dzieciństwie dopłacałam wiele za swój nadbagaż masy. Za odmiennność. Teraz odpuszczam sobie przejmowanie się – tym.

Nazywam się Guba. „R” – to tutaj taka zguba. Jakby było, można by, mówiąc do mnie po nazwisku, równocześnie mnie opisywać. Dla wielu szablonujących dorosłych czy ich młodych latorośli przyklejających etykiety to naprawdę takie proste. Zresztą nawet bez tego „r” często omija mnie wiele fajnych rzeczy: romanse, radość, rodzenie, rodzicielstwo, rekreacja, relaks, rozbujanie, rozczulenie, rozgrzanie, rozkochanie, rozkraczenie, roznegliżowanie, rozpalenie, rozwiążłość, ratunek

i reszta. Ręce męskie nie suną po mnie, czyniąc rytuały rozgrzewające. Równocześnie to utracone „r” może być nadzieją, że kiedyś zgubię balast przeszłości, nagromadzony w formie nadwagi. I złych wspomnień. Na razie nauczyłam się ich nie celebrować. Kiedyś na terapii powiedziałam, że moje dzieciństwo nie było takie kiepskie, bo inni mieli gorzej. Ale terapeuci pomogli mi uświadomić sobie, że wcale nie było dobrze. Tylko dzieci automatycznie kolorują świat.

Ranek.

Pik, pik – odgłos paczki liter w okienku i zielone światło Messengera.

Kawa podana! – pisał Ner i wysyłał dwie emotikony filiżanek.

Dziękuję – odpowiadam. Sama nie lubię powielać tych dennych obrazków, substytutów kaw.

Co u ciebie? – pyta nieznajomy-znajomy z Berlina.

Od pewnego czasu niewiele śpię, dużo kofeiny w ciągu dnia. Remontuję dom, a później jadę popracować w poradni. Dni wypełnione po brzegi, może jeszcze zdążę chwilę poczytać.

Zostaw mi numer telefonu, mijamy się tutaj, na komunikatorze.

Wysyłam. Sieć Orange.

OK, dziękuję. Obiecuję nie przeszkadzać zbyt często. Jeśli nawet nie wytrzymam i zadzwonię zaraz, to tylko na chwilę, by przywitać się, a później pogadamy dłużej. Dobra? Działaj i nie zapomnij, że wspieram. Porób foty, chcę cię dziś zobaczyć całą. Zwykle zdjęcia, prawdziwe – pisał i oswajał.

Oswoić to znaczy: przyzwyczaić do kogoś lub do czegoś, także przyzwyczaić dzikie zwierzęta do przebywania wśród ludzi lub do służenia im. Intuicyjnie czułam obawy. Rozwiewał je.

Alicjo, po prostu korespondujemy ze sobą. Rozmawiajmy i dbajmy o znajomość, a będzie okej. Pewnie jesteś jeszcze w wyrku. Masz dobrze, ja zaraz startuję do roboty. Dzwoni, kiedy tylko chcesz. Możesz zawsze. Pytaj, pisz o Sobie, od Siebie.

Zaczął pierwszy. Wysłał jpg o średniej rozdzielczości, ale za to on wysoki, ponad metr osiemdziesiąt pięć, bez nadwagi, dobrze umięśniony. Miał szare oczy drapieznika. Niebezpieczne jak zmierzch, tylko przez chwilę dominujący, więc zakompleksiony. Deprecjonowany blaskiem dnia i spychany czernią nocy. Ale wtedy zwracałam uwagę na inne szczegóły. Nie na oczy.

Wydajesz się silny na tym zdjęciu.

Barczysty? Tak, życie nie było łatwe, ale daję radę – trzeba. Wiem, co to znaczy samotność; niech trwa proces. Wierzę, że chociaż masz dużo spraw, to jednak nie będziesz pojawiać się i znikać, jak teraz. Oczywiście, nie wypominam, że jesteś tak rzadko dostępna, rozumiem. Alicja, po prostu dbajmy o siebie i rozwijamy znajomość! – nalegał. – Pa, do zobaczenia.

Po prostu, czyli otwarcie, bezpośrednio, szczerze, nie komplikując. Określenie to wydaje się jego ulubionym zwrotem. Używa go często w konwersacji. Tak się mówi powszechnie. Niemniej niewiele jest prostych spraw. Przypomina mi się obietnica z *Transerfingu rzeczywistości*, iż uzyskujemy te rzeczy i sytuacje, które trwale opanowują nasz umysł. Myśli wracają jak bumerang. Czyli zagmatwanie i chaos są w naszych głowach. Globalne pogubienie. Czyżby zbyt wiele elementów pożądamy z tej układanki zwanej codziennością? Tymczasem w zbiorze ksiąg Zelandy, których ideę wykorzystałam do powołania Fundacji, zauważono, że wszystko, co wielkie, jest bezgranicznie proste, nie musi mizdrzyć się ani ukrywać. Tak było już w baśniach. Lampa Alladyna to szary, blaszany imbryczek, a Graal wcale nie został wykonany ze złota. Teraz my te baśnie oblepiamy badziewiem niczym nowobogaccy swe gigantyczne – skrzypiące z poczucia brzydoty – wille. Zazwyczaj to, co puste czy bezużyteczne, ukrywa się pod przykrywką ważności i niedostępności.

Po prostu, wtedy, przyjechał do Poznania. Zmarła matka, którą pochowano rano, i jednonocna kochanka, czyli ja – były z tego samego miasta. Niezły zbieg okoliczności. Na cmentarzu miał posągową twarz. W domu straszły go demony wyrzutów sumienia. Od dziesięciu lat mieszkał w Berlinie, nie był przy rodzicielce w czasie, kiedy ciężko chorowała. Wyznając mi to, bezwiednie, z nerwów, zgniótł szklanekę drinkówkę pełną whisky z colą.

– Ner, uważaj! – krzyknęłam. Ekskluzywny Ballantine’s spłynął ze stróżkami krwi. Zdezynfekowałam mu dłoń. Powiedziałam, żeby nie miał do siebie pretensji, bo to już nic nie pomoże.

– Oduś sobie.

Szybko go przekonałam. Nie był introwertykiem, złości nie trzymał

w środku.

Tej nocy byłam dostępna. Szczera. Odważna. Po prostu nie komplikowałam.

Może dziś nie chcę tego dobrze pamiętać, ale wiem, bo wtedy na świeżo powiedziałam do Ester, mojej duchowej siostry, kilka zdań:

– No, nawet żałuję, że pojechał, wiesz. On jest taki, że nie zamierza tylko brać. I jeszcze mówił, ale gadanie to gadanie, wiemy, że ważne są czyny, a seks z kobietą oznacza, iż trzeba troszczyć się i dbać o nią. To mnie przekonało do otwarcia się. Mózg lubi uzasadnienia.

Po nocy z nim dodałam:

– Od rana myślę o seksie.

– Trzy skojarzenia? – spytała Ester zewnątrznie, zupełnie inna. Szczupła blondynka z głową pełną loków.

– Siła, ekscytacja, tajemniczość.

– Całkiem nieźle – skomentowała wtedy. Wcześniej uważała, że Ner ma niebezpieczne oczy. Nieprzewidywalne i niezrównoważone.

– Tylko ty do niego nie jedź! – ostrzegła. – Może jest jakimś dokarmiaczem i zamknie cię w piwnicy, aby jeszcze utuczyć i gwałcić. Zacznie wypasać jak krowę.

– Daj spokój – urwałam.

– To dlaczego inni faceci sugerowali ci dietę, a ten tylko się zachwyca? Łączy nas w przyjaźni kurewsko ostra szczerość.

Milczałam.

Diler ciepła, którego w tę noc nie reglamentował, wrócił do Berlina i napisał:

Teraz po prostu jesteś już moją dziewczyną.

Przeraziło mnie to. Przypomniałam sobie, że jestem przecież zakochana w kimś innym, ale powinnam o tym nie pamiętać. To wydaje się nie mieć przyszłości – mówiąc eufemistycznie. André był moim terapeutą. Trochę straszy, przepraszam, starszy, bardzo mądry, ale jak na terapeutę mało empatyczny. Chyba że się nie znam? A może faktycznie trzeba szybko burzyć nieprawdziwe konstrukcje wspomnień i uwarunkowań, aby tworzyć nowe. No nie, intuicyjnie się z tym nie zgadzałam. Zabiegi na duszy trzeba wykonywać w białych rękawiczkach.

– Dziwnie dorosłaś – twierdził.

– Tak? Bo automatycznie koloruję świat jak dzieci? – kłóciłam się. On zamierzał nas przeszkładać jak ludziki Lego, na idealnych. Ja chciałam zaakceptować to, czego nie umiem zmienić. Dwa światy: idealni i pogodzeni z ułomnościami. Radośni bezpodstawnie, bo fałszywie. Pełnowartościowi odmiennie, bo w kiepskim stanie. Sprawni inaczej, gdyż mieliśmy kilka zderzeń w dzieciństwie: z maluchem odjeżdżającego taty, z paskiem ze skóry z Peweksu, z procami dzieci okupującymi trzepak, zwisającymi i kłującymi jak węże. Kolizje ze wściekłą władczynią babciomą, która doczekała się tylko jednej i w dodatku brzydkiej wnuczki. Po jaką cholere musiałam zakochać się w antagoniście mojego plemienia?

Ner spytał: Czy jestem z kimś w związku?

Odpowiedziałam prawdę, że nie. Półprawda jest zmierzchem w jego oczach. Znika.

Półprawda znika, ale nie teraz. Jest zmierzch. Za wcześnie na wieczrę, jednak gdy o tym wszystkim myślę, jem już trzecią kolację. Kolejna bułka, dużo masła. Witamina A działa dobrze na oczy. Och, ile wykonałam pracy nad sobą, aby teraz nie wrzucać w siebie słodyczy, chipsów czy paluszków. Zjadam w tej całej masie dwa zielone ogórki, pomidora i trzy ząbki czosnku. Sto gramów ogórków to tylko piętnaście kalorii. Mało. Pomidory mają sód i potas. Czosnek, dzięki dużej zawartości antyutleniaczy, zwalcza wolne rodniki i zapobiega powstawaniu nowych, przez co opóźnia starzenie się komórek organizmu. Wpycham w siebie czwartą zdrową kanapkę. Cholera, teraz piątą. Może jeszcze to wszystko da się uratować? Alice, nie musisz karać siebie. Stop! Tylko przestań jeść. Uśmiechnij się, zrób przysiady. Jeszcze możesz. Wygraj. Nie wymiotuj. Jesz zdrowo, to nic takiego, że więcej. Wczesna kolacja może być bardziej obfita. Jutro zrobisz sobie dietę. Nic się takiego nie stało. Policz kalorie na dwa dni, jutro oddasz. Nie jest tak źle, opanuj się. Im bardziej naciskasz, tym rzecz stawia większy opór.

Nie sięgaj po czekoladę.

Nie sięgaj po czekoladę.

Cały czas myślę intensywnie. Pouczam się: André ma prawo milczeć. Z tobą spotykał się w ramach pracy w ośrodku, w którym go zatrudnili.

Rozmawiał za pieniądze. Musiałaś nadinterpretować wrażenie, że jakoś cię lubił. Bądź szczerą wobec siebie. Daj szansę Nerowi. Uciekaj z kuchni! Natychmiast.

- Dlaczego André dzwonił nocami?
- Miał służbowy telefon, nie ponosił kosztów.
- A czas poświęcony?
- Kupował podziw – spieram się.
- Podbudowywał ego karmiąc się moją fascynacją.
- Nigdy nie minęła – rejteruję.

Kłóć się ze sobą moje osobowości wielorakie – racjonalna fauluje marzycielkę. Bezgłośnie... łapczywa rusza ustami. Miniszmer; gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta.

Kurwa, dlaczego oni, ci beźmyślni ludzie, przynoszą mi do Fundacji czekolady z orzechami? Orzechy są najbardziej wartościowe ze wszystkich bakalii. Co prawda mają dużo tłuszczu i kalorii, ale są to korzystne dla zdrowia nienasycone kwasy tłuszczowe, zmniejszające ryzyko chorób serca.

Patrzę na puste pudełko po przysmaku i płaczę.

Nawet nie wiem, czy Milka była smaczna. Nie pamiętam, zżarłam bezwiednie. Teraz kupowa papka jest we mnie. Muszę się jej pozbyć. Powinnam się przed tym powstrzymać.

Szaleję w sobie, rozdarta.

Pierwiastek destrukcji. Och, ma barwy motyla, ale gra rolę tasiemca uzbrojonego. Jest niewidoczny jak śmiertelna zaraza, która miała zabić pięć miliardów ludzi w fantastycznym filmie *Dwanaście Małp*. Niby go nie ma, a jest. Trwa. Pożąda. Kusi: weź, wypluj, wbij, otwórz, skocz. Szczęście to tych kilka chwil zapomnienia. Zniszcz siebie – a pozbędziesz się mnie. Mamy ten pierwiastek czasem w sobie.

Wchodzi jak pająk w otwarte usta śpiącego na pustyni.

Albo po prostu skądś jest. Czarczi myśłokształt.

Zasłużyłam na reprimendę. Wychowująca mnie babcioma wiedziała to już wiele lat wcześniej. Wróżyła: Jesteś okropna, najgorsze dziecko na świecie. Nikt nie będzie cię lubił, nie będzie chciał.

Faktycznie, jako pierwsi pozbyli się mnie rodzice. W pewnym mo-

mencie dzieciństwa okazało się, że moja mama jest babcią. Wróć. Babcia nie jest mamą, to znaczy prawdziwą. Jest co prawda mamą, ale mojej matki. Trudno to wytłumaczyć teraz, a wtedy opornie szło mi ze zrozumieniem. Dobra, jeszcze raz. Mama urodziła mnie w młodym wieku, będąc w związku z irracjonalnym alkoholikiem, ale całkiem imprezowym i wesołym. Taki fajny gość, ale nie jako mąż. Babcia została więc matką zastępczą. Nazwałam ją babciomą – dwa w jednym jak później popularny szampon z odżywką. No i też potrafiły z rodzicielką współdziałać przeciwko mnie z dużą mocą. Prac mnie, ale psychicznie, abym stała się lepsza w ich oczach. Szkoda, że nie chudsza.

Nie mówmy już o porażkach, ale o sukcesach. Tak trzeba. Bo, gdy się rozpamiętuje, jest gorzej. Biorę łyk niesłodzonej herbaty. Gorzki to mój ulubiony smak. Wpływa na regulację trawienia i apetytu, to znaczy zmniejsza. W naszej kulturze kojarzy się z przykrym odczuciem. Czujemy gorzyc porażki lub przelewamy czarę gorzycy. Bywamy rozgoryczeni, gdy coś pójdzie źle. Niegdyś smak ten przestrzegał przed spożywaniem pokarmów trujących lub nieświeżych, a mających właśnie taki lub słony posmak. Ja go prawie nie odczuwam. Zżarłabym popsute produkty bez mrugnięcia okiem. Nie mam chyba instynktu samozachowawczego. Wybrałam André, przystojnego coacha, zamiast kogoś dla mnie. Wbrew jego aluzjom nie uwierają mnie ponure wspomnienia, które z perspektywy czasu wydają się chwilami nawet sielskie. Rodzinne Niewolno uważałam za ładną wieś. Wystarczyło wyjść z zagrody i uciec pół godziny na nogach nad Jezioro Malicz. Z jakichś powodów pociągało mnie to miejsce. Zwierciadło wody uspokajało. Później dowiedziałam się, że było to jezioro przepływowe, a więc już wtedy fascynowały mnie: ruch i brak zamknięcia. Jezioro jak rzeka. Chciałam być podobnie niejednoznaczna.

Za lubienie gorzkiego smaku odpowiada gen TAS2R38, który jest także współodpowiedzialny za to, czy jedzenie sprawia nam przyjemność. Osoby, które są niewrażliwe na gorzyc, należą do tych najmniej wybrednych. Mogą zjeść wszystko jak świnie, jak ja. Ale nie czerpią z tego wielkiej przyjemności. Znów podobnie. Nie umiem wymienić potrawy, której nie lubię. Czuję radość jedynie, kiedy zjem za mało. Co mnie jeszcze czeka? A może gorzki smak sławy? – tak się mówi.

Dobra, odzegnajmy się od biadolonia. Osiągnęłam jako taki sukces zawodowy. Jestem świecą spowiedniczką we własnej Fundacji Opuść Sobie, w ośrodku PIZANG, który prowadzę z dwoma przyjaciółmi. Nazwą przywołujemy tropikalną roślinę z rodziny bananowców. Złośliwi mówią, że nie jestem dobrą terapeutką, bo jestem gruba, więc nie radzę sobie z niczym. O nie! Nie potrafię sprostać tylko własnym demonom. Z innymi świetnie mi idzie; w teorii wiem doskonale. No i po drugie, po pomoc udają się ci, którzy też mają problemy. Przegrywają pojedynki z własnym Ja. Zmęczeni zmaganiem. Ich siła drzemie, ostrzega: Mam już ciebie dość! Twoich pustych obietnic, wiecznych napięć, niemożliwych celów. Nienawidzę cię, nie znoszę. Hart ducha szloch: Czuję bezsens i smutek. Każesz mi walczyć na oślep; tłuc się z wiatrakami. Kusisz nadzieją, ale szkodzisz jak pieprzony dywersant. Psujesz, budując, i niszczysz, naprawiając. Zawsze źle, inaczej niż chcesz.

Och, jak ja dobrze wiem, jak to jest przegrywać ze sobą. W dyscyplinie empatia położyłabym każdego terapeutę na łopatki. Choć czasem, zwłaszcza nowym uczestnikom spowiedzi, zamierzam tłumaczyć się: wpływa na mnie siedzący tryb życia, mam słabą przemianę materii, schudłam dziesięć kilo, ale jeszcze tego nie widać. Później w myślach upominam siebie: Alice, uspokój się! Dla nich nie jest ważne, jak wyglądasz, ale co im dajesz. Dzisiaj każdy wpatrzony jest tak w swoje widzimisię, że nawet ciebie nie zauważa, a co dopiero zbędne kilogramy. Będąc gorsza od nich, w pewnym sensie jesteś lepsza, bo poprawiasz im nastrój. Twoją jedyną sędziną jesteś ty sama. Nie opowiadaj, nie wyjaśniaj, tylko im pomagaj. Po to tu przyszli. Wspowiadać się. Opuścić sobie. Zrzucić ciężący balast. Krzyknąć pełną piersią jak na stokach w górach: odpuszczam sobie i moim winowajcom. Amen.

Łapacze snów

Zmierzch za oknem. Kolejny bąbel wspomnień. Pęka. Jem jabłko. Co z tego, że słodkie? To przecież owoc. Nieważne, że drugie. Dwa jabłka, mandarynka i łuk banana ułożą we mnie uśmiechniętą postać. Alice,

nie schizuj – to tylko małe owoce. Nie granaty – upominam się. Telefon dzwoni nerwowo. Ciszę zakłóca ktoś łakomy wyrazów uznania. Ukochany André zabrał mnie kiedyś na spacer. Podeszliśmy pod sklep indyjski i rzekł: Czy chcesz na gwiazdkę łapacz snów? Dziwna historia; gdyby spytał, co pragnę pod choinkę, o to właśnie bym poprosiła. Ten od niego, przepiękny, powiewa w salonie. Wyczuwa zawzięte rozgrzanie samochodów, bo mieszkam przy ruchliwej trasie. Każdy dokądś pędzi, kiedy śpimy też. Widocznie musiałam pozyskać dwa łapacze snów, aby zmierzyć się z nakreśleniem istoty destrukcyjnego pierwiastka w nas. A jeśli pójdzie źle – napisać swój testament. Drugi to wzór na etui telefonu komórkowego, bo w świecie wirtualnym również zatracamy się. Symbol znajduje się na granatowo-zielonym tle. Takimi barwami pomalowałam jedną ze ścian salonu w ostatnim domu przy ulicy Partyzanckiej. Poprosiłam majstra, by wyciął w ścianie pomiędzy pokojem a kuchnią otwór w kształcie okna. Dla kobiet w pewnym wieku charakterystyczne stają się: rysy, szczeliny i wyrwy w duszy. Ważne jest też nieokiełznanie przestrzeni, by promienie słoneczne przechodziły swobodnie. Prześwit. Może potrzebuję wydobyć te historie z siebie pęsetą jak wrośnięte włosy po depilacji? Zniszczyć ropne punkty szpecące horyzont skóry. Ale bez interwencji metalu – nie goją się. Podobnie zawzięcie usuwamy pożółkłe liście z doniczkowych kwiatów, aby odegnąć wrażenie jesieni. Na parapetach nad grzejnikami w pudełkach uprawiamy lato. Ogólnie hodujemy drobne nieprawdy, które pozwalają przetrwać. I jest ładniej. Prawdopodobnie muszę wydusić z siebie te słowa jak chleb powszedni. Wystarczą tylko dwa palce i otwarty przelyk. Plus brak awersji przed cofaniem.

Awersja pojawia się. Niechęć wobec nacisków obecnego chłopaka za ledwie z nazwy. Swoiste *déjà vu* – skoro André wrócił w snach, to jak ja mogę odejść z Nieistniejącej Krainy? Realnie, wiem, uczciwie będzie pozostać samą. Realnie kiedyś naprawdę siedzieliśmy razem przy ognisku. *Czarana* noc, to znaczy czarna, bez gwiazd, ale magiczna. Wtuliłam się w niego, jakby był Bogiem lub widmem przygnanym przez Kupidyna, bękart Marsa. Byłam wtedy: mała i duża. Pełna i prawdziwa. Teraz zaczynam pojmować, że nie umiem oszukać siebie, przestawić emocji na

kogoś innego. Lepiej mi idzie z unieszczęśliwieniem.

Myślami jestem daleko. Telefon znowu dzwoni. Nie odbieram. Na chwilę wyjechałam. Do kuchni. Jest dwudziesta trzecia. Stosuję dietę zupową. Karmię się parującymi zupami, ich aromatem i ciepłem równocześnie. Teraz do leczy dodaję ulubiony chiński sos Tao Tao, słodko-pikantny, pieprz cayenne i maggi. Podgrzewam na maksa, aż parzy. Boli przełyk. Ostre i gorące. Tu nie chodzi o to, aby jeść, lecz czuć. Więc ilość zastępuję zmianą konsystencji, temperatury i smaku. Muszę go zwieść, ten głodny pierwiastek, jak nienasyconego smoka. Zajadamy strach lub pustkę.

Kiedyś znajomy nakrył mnie w tanim stanie, to znaczy takim kompulsywnym, na biwaku w kuchni polowej. W roli animalnej zażerałam się czym popadnie. Obserwował z ukrycia, a potem rzekł, chichrając się: Myślałem, że włamała się lis, a to ty żerująca. Jakoś tak szybko, nerwowo jesz, zęby ci się wyostrajają.

Teraz bezpieczna, bo w samotności, podgrzewam w porcjach, na małym gazie, jeden, drugi, trzeci blaszany kubek. Nabierka do nabierki i słoik opróżniony; ja napełniona. Nie jest źle. Tylko litr dobrego naparu. Mogło być gorzej. Tasiemiec śpi, poczucie winy nieobudzone. Oddycham głęboko.

Ner napięprza smartfonem. Brzmi to jak alarm. Powiem wam szczerze, boję się dźwięku telefonu.

Pamiętam, kiedy już po studiach wymeldowałam się z Niewolna, babcioma dzwoniła i wróżyła:

– Nic ci się nie uda. Jesteś gruba, nie znajdziesz dobrego oblubieńca. Co prawda panowie lubią trochę ciała, nie sam hak, ale trzeba być pogodnym. U nas na zabawie ludowej była taka baba jak stodoła. Amant, kiedy ją wokoło obtańcowywał, to nie było go chwilę widać. Jednak ona umiała się uśmiechnąć, podskoczyć, przypodobać. Usta umalować. A ty wcale nie uwodzisz. I co to za fryzura? Postrzępione, fioleto-we włosy jak śliwka. Aż niedobrze się robi. Niczego cię nie nauczyłam. Kolejna życiowa porażka. Panna musi o siebie zadbać. Nie być takim niechlujem jak ty. Bałaganisz niczym krowa, gdzie stoi, tam nasra. Prowadzisz firmę, pewnie kary dostaniesz z tym twoim niepokładaniem. Teraz to mandaty kilkadziesiąt tysięcy dają jak nic. Ludzie to powinni